

# Pierwszy

*Bronkesfeild*

– Hej! Hej! Masz może ochotę na coś szybkiego? Jakiś lodzik? Tanio, bardzo tanio! – Takie oferty na ulicy Bronkesfeild były codziennością. Codziennością były też zwykle samochody, z pewnością niewyglądające na nowe i z pierwszej ręki, zatrzymujące się przy chodniku i młodzi chłopcy, przeważnie niepełnoletni, pochylający się do okna.

To był raj dla grubych, niespełnionych życiowo facetów z tłustą żonką na karku i dorastającymi, problemowymi dziećmi. Mężczyzn wiodących nudne życie w cieniu kłamstwa, z każdym dniem wyglądającym tak samo; praca, powrót do domu, szybki seks z żoną w łóżku pod pierzyną, sen. I od początku, koło się zatacza. Nic dziwnego, że szukali rozrywki. Młodych, chętnych ciał. Ceny niskie, bo przecież taki robotnik na wiele sobie pozwolić nie może, żadnych zobowiązań i chłopiec, który dla pieniędzy zrobi wszystko.

HIV i AIDS rozprzestrzeniało się tu jak zaraza. A starsi „wyjadacze” powtarzali młodszym: „Zabezpieczaj się. Tylko z gumką, choćby ci proponował nie wiadomo jak wielką sumę.” Jednak nie zawsze brane to było do serca. Utarło się już, że bezpieczny seks zależał od samego zainteresowanego. Jeżeli ten chciał i miał przy sobie gumki, to okej, jeżeli jednak nie, *klient nasz pan*.

To był mój świat. Moje życie. Nie robiłem tego dla przeżycia, podejrzewam, że mało który z chłopców Bronkesfeild, bo tak się na nas mówiło, sprzedawał się, aby żyć. Robiliśmy to, ponieważ każdy z nas był uzależniony. W mniejszym lub w większym stopniu. Ale oczywiście, nikt nie mówił tego głośno, nikt nawet tak nie myślał, zawsze mogliśmy z tym zerwać. Wszystko mieliśmy pod kontrolą, to wyłącznie nasz wybór.

Ze mną wtedy nie było jeszcze tak źle, jak z co niektórymi. Taki Rich dla przykładu, chłopak który poniekąd wprowadził mnie w to towarzystwo, nie widział dnia bez hery. Wszystko by dla niej zrobił, nic dziwnego, że miał później poważny problem ze zwieraczem. Z *Richa Adonisa*, bo tak nazywaliśmy go tu przez jego niebywałą urodę, zmienił się w *Richa Śmierdziela*, czy też *Richa Pełne Gacie*. Brzmiało śmiesznie i na początku też takie było, aż nie znaleźliśmy go ze strzykawką w udzie (bo już nie miał miejsc na ciele, w które mógłby sobie wbijać) i dopóki na

Bronkesfeild nie pojawiła się policja. Ale tak szybko jak się tu pojawiła, tak też zniknęła. Rich był przecież tylko kolejną ofiarą brązowego cukru.

Niemal każdego tygodnia ktoś tu umierał z przedawkowania. W końcu nadchodził ten ostatni „złoty strzał” i każdy z nas wiedział, że kiedyś też go doczeka, ale nikt się nie przejmował. Żyliśmy z dnia na dzień. Z numerku na numerek. Gorzej, gdy tego numerka nie było i pojawiała się potrzeba jak najszybszego skołowania kasy, jeszcze przed głodem.

Ja jednak, jako że dopiero zaczynałem, miałem łatwiej. Masa klientów równała się zarabianiu pieniędzy. Nie musiałem martwić się, że na jutro mi nie wystarczy... Chociaż, czy tu ktokolwiek się martwił? Żyliśmy chwilą, bo tylko ona miała znaczenie. Jest działka, jest dobrze. Nie ma działki, trzeba jak najszybciej skombinować.

Moja historia nie była szczęśliwa, ale na tle reszty chłopców z Bronkesfeild, prezentowała się całkiem nieźle. Zaczniemy jednak od imienia. Zazwyczaj główni bohaterowie w książkach *jakieś* mają, wypadaloby też, abym i ja *jakieś* dostał. Nie zależy mi jednak na prawdziwych danych, nie chcę być prawdziwy. John Smith idealnie pasuje, będę każdym i nikim zarazem.

Jeżeli jednak chodzi o moją przeszłość, rodzice nie zarabiali kroci, ale byli tradycjonalistami. Co niedzielę latałem jak ten idiota do kościoła, żeby pogadać sobie z kimś, w kogo nawet nie wierzyłem, bo oni tak chcieli. W szkole radziłem sobie dobrze, zdarzało mi się kończyć rok z wyróżnieniem. Kazali mi się uczyć, to się uczyłem. Nie sprzeciwiałem im się, aż do momentu, gdy poszedłem do średniej i poznałem Matta. Zacząłem imprezować, pić alkohol, palić papierosy. Wcześniej trzymany pod kloszem, w końcu udało mi się zerwać ze smyczy. Wychodziłem z domu niemal codziennie, wracałem wieczorem pijany, unikając ojca, przemykając koło kuchni jak najciszej, żeby nie spotkać matki. Aż wreszcie doszły narkotyki. Razem z Mattem weszliśmy w ten świat. Najpierw były to lekkie używki, dopiero później zaczęliśmy sięgać po coraz cięższe środki. Czasem, w przyływach dobrego humoru, porównywałem to do schodów piekieł, brzmiało zabawnie, jakby wyciągnięte z ust jakiegoś księdza przestrzegającego przed narkotykami.

Rodzice powoli zaczęli dostrzegać, że coś jest nie tak. Przyznaję, długo to trwało, nie mam pojęcia, jak mogli nie zauważyć, że ich szesnastoletni syn znika na całe dni, a wraca nocą, kiedy wcześniej tylko siedział w pokoju i ciągle się uczył. Jak mogli pominąć, że rano skacowany szedłem do łazienki, wymiotowałem i wracałem spać, a wieczorem znowu wychodziłem? Ale w końcu zrozumieli, że coś jest nie tak.

Musieliby być ślepi albo głupi, albo jedno i drugie, żeby nie zrozumieć. Wracalem na fазie, nieraz dając sobie działkę w pokoju, a z domu zaczęły znikać rzeczy. Oczywiście, próbowali coś zrobić. Chodziłem na jakieś odwyki, ksiądz raz nawet wypędzał ze mnie diabła, bo rodzice twierdzili, że zostałem opętany przez sługi szatana. Jak nietrudno się domyślić, wymachiwanie krzyżem przed nosem i czytanie jakichś modlitw po łacinie, niewiele daje, jeżeli ma się do czynienia z początkującym uzależnieniem, a nie krwiożerczym, złośliwym demonem nasłanym przez samego czarta.

Skończyło się na tym, że osiągnąłem pełnoletność i wyleciałem na zbity pysk. Ale nie tylko dlatego, że brałem. Byłem gejem, moi rodzice uważali to za zbrodnię przeciwko Bogu, a na dodatek ojciec przyłapał mnie z Mattem w kilku jednoznacznych pozycjach. W jednej chwili przestałem dla nich istnieć.

Nie było krzyków, nie było płaczu i lamentu, tak jak to zazwyczaj pokazują na filmach, kiedy dziecko powoli się stacza. Mama nie zamykała się w kuchni, nie wylewała swoich smutków, a tata nie próbował mnie „nawrócić”. Wszystko potoczyło się szybko. W jednej chwili jeszcze siedziałem na łóżku z Mattem, w drugiej byłem już na ganku bez niczego. Nawet walizki mi nie dali, tylko trzasnęli drzwiami przed nosem, warcząc jeszcze coś, że to obrzydliwe.

Ale jednak jakoś te pieniądze na działki trzeba było załatwić, a wynosić z domu już nie mogłem, bo go straciłem. Przestałem mieć wszystko, co powinien posiadać normalny osiemnastolatek. I tak oto trafiłem na Bronkesfeild.

Jak się jest tu nowym, to ma się całkiem niezłe powodzenie, bo każdy ze starych klientów chce sprawdzić. Gorzej, gdy już uzależnienie postępuje, gdy człowiek zaczyna się staczać. Nie wyglądasz zbyt reprezentacyjnie (choć żaden z nas nie wyglądał). Wtedy przypominasz odpadek. Biorą cię ci, których nie stać na żadnego lepszego. Starzy alkoholicy i fetyszyści podduszania z syndromem pedofilskim.

Na Bronkesfeild byłem dopiero czwarty miesiąc, czyli żadna ze mnie świeżynka, ale do „starych wyjadaczy” też nie należałem. Wiedziałem już, jakimi prawami kieruje się ta ulica. Wiedziałem, że trzeba wyglądać na mniej uzależnionego niż w rzeczywistości, bo inaczej będzie źle.

Tamtego dnia byłem w kiepskim humorze, obudziłem się rano w śmierdzącym kiblu, z igłą pod skórą i z pulsującą nieprzyjemnie czaszką. Mieszkałem z Mattem, moim chłopakiem. Tworzyłem z nim związek, pomimo że obaj się sprzedawaliśmy.

Ale kochałem go. Oczywiście na swój sposób, bo jak może kochać narkoman? Nie wiem, czy on też mnie kochał, chociaż szczerze w to wątpię. Jego stadium uzależnienia było o wiele bardziej posunięte niż moje. Nie raz, nie dwa, to ja mu załatwiałem działkę, byleby tylko nie był na głodzie i nie wyglądał jak obraz nędzy i rozpaczy. Chociaż obaj tak wyglądaliśmy. Mieszkaliśmy w małym, ciasnym i śmierdzącym mieszkaniu. Należało do przyjaciela Matta, w trzy osoby gnieździliśmy się w kawalerce, a na dodatek mieliśmy tylko dwa łóżka. No ale nie wybrzydzałem, mogłem mieć albo to, albo, tak jak większość chłopców Bronkesfeild, tunel pod dworcem.

Mieszkanie nie dość, że było małe, to jeszcze niekoniecznie reprezentacyjne. Żaden z nas nie dbał o to jak wygląda. Czy na ścianie przypadkiem nie rozwija się grzyb, czy zrzucone na podłogę resztki jedzenia nie zaczynają chodzić i czy pościel, w której śpimy, nie śmierdzi stęchlizną. To miejsce było tylko na chwilę, tak jak i wszystko w moim życiu. Ważne, żeby było gdzie spać, od czasu do czasu nawet umyć się, w końcu idąc na Bronkesfeild nie chciałem odstraszać tych porządniejszych klientów. Ale poza tym, nic więcej to mieszkanie dla mnie nie znaczyło.

– Idziesz? – zapytał Matt, wchodząc do małej, ciasnej łazienki z odpadającymi zgrzybiałymi kafelkami. Jarzeniówka pod sufitem trzeszczała głośno, zupełnie jakby chwila moment miała wybuchnąć. Kilka razy zamrugła też niebezpiecznie. Trzeba było ją wymienić, ale nikt się ku temu nie palił.

– Idę – odpowiedziałem, podnosząc się z podłogi i zrzucając strzykawkę na kafelki. Przytrzymując się ścian, podszedłem do umywalki. – A ty jak dzisiaj? – zapytałem i przetrąłem brudne lustro, patrząc na swoje zmizerniałe odbicie.

Byłem przeraźliwie chudy. Policzki wręcz zapadały się, a pod oczami widniały fioletowe cienie, jednak w porównaniu do innych chłopców z Bronesfeild, trzymałem się naprawdę nieźle. Nieco przydługa jasna grzywka opadała mi na czoło, a policzki zdobiły piegi, odznaczające się na tle jasnej, ziemistej cery.

Kiedyś, jeszcze jakieś dwa lata temu, gdy dopiero zaczynałem brać, miałem ładne, niebieskie oczy. W ogóle, uważam, że byłem całkiem przystojny. Dużo ćwiczyłem, czemu zawdzięczałem dobrą sylwetkę. Teraz jednak nic już z niej nie pozostało. Wyglądałem jak żywy wieszak, pomimo moich marnych stu siedemdziesięciu czterech centymetrów wzrostu. Gdybym podciągnął do góry swój biały, przybrudzony golf, mógłbym policzyć wszystkie żebra.

Matt, w przeciwieństwie do mnie, zawsze był chudy, a przy tym niemożliwie wysoki. Sięgałem mu do ramion. Był latynoskiego typu urody; miał dłuższe, kręcone, ciemne włosy. Mimo śniadej cery i tak wyglądał dość chorowicie. Na jego twarzy widniały czerwone przebarwienia, ślady po popękanych naczynekach krwionośnych, do tego dochodziły jeszcze worki pod oczami i zapadnięte policzki. No i oczywiście mocno przetłuszczone włosy, bo mycie ich nie stanowiło priorytetu.

Spojrzał na mnie mętym wzrokiem. Pocił się, wiedziałem co to oznacza. Jak najszybciej potrzebował działki. Zaciskał swoją kościstą dłoń na framudze i patrzył na mnie, jakby z prośbą.

– Masz – powiedziałem, podając mu mały woreczek z białym proszkiem w środku. Zerknął na niego i szybko wyciągnął rękę, po czym mi go zabrał. Wyburczał ciche „dzięki”, pochylił się, żeby mnie pocałować i wyszedł. W odpowiedzi uśmiechnąłem się lekko.

Spojrzałem na zlew i odkręciłem kurek. Rury zaskrzypiały żałośnie głośno i po chwili spłynęła brudna, brązowawa woda, pozostawiając po sobie nieprzyjemny zapach rdzy. Szybko umyłem twarz i wsunąłem jeszcze głowę pod zimny strumień, płucząc włosy. Gdy skończyłem, tylko je przetrzepałem. Nigdzie nie było ręcznika, no, chyba że leżący w kącie, brudny od kurzu, odurzający stęchlizną. Z dwojga złego wolałem już wyjść na zewnątrz z mokrą głową.

Gdy wszedłem do pokoju, spojrzałem na łóżko stojące pod ścianą. Siedział na nim Matt. Uśmiechał się lekko i błędził po pomieszczeniu nietrzeźwym spojrzeniem.

– Wychodzę – powiedziałem, mimo że dobrze wiedziałem, że mnie nie zrozumie. Nie miałem też co liczyć na odpowiedź.